

Mroczny obiekt pożądania

PREMIERA

„Peleas i Melizanda” w Operze Narodowej jest jak sen, który przeraża i wciąga, ale człowiek nie chce się obudzić.

Tym przedstawieniem polski widz został wrzucony do teatralnego świata Katie Mitchell, najwybitniejszej dziś brytyjskiej reżyserki, od lat związanej z Royal Shakespeare Company, ale też działającej na licznych scenach operowych.

Jej spektakle są tak charakterystyczne, że poznajemy je, gdy tylko podniesie się kurtyna, i tak oryginalne, choć kontrowersyjne, że nie do podrobienia. Tak jak trudna do skopiowania jest również precyzja jej reżyserskiej roboty.

Katie Mitchell z reguły pokazuje opowieść na wielu planach, widz śledzi ją niemal w sposób filmowy, przenosząc się w kolejne miejsca akcji. Zdarzenia toczą się płynnie, bez cięć, bohaterowie przemieszczają się w przestrzeni i w czasie, często zmieniając ubrania, a wszystko dzieje się na naszych oczach.

Mnogość planów jest potrzebna, bo choć Katie Mitchell zmienia czas i miejsce akcji w stosunku do oryginalnego libretta, to relacjonuje wszystko scena po scenie. A przy tym dodaje to, co nie zostało zapisane: skrywane motywacje, przeżycia i działania bohaterów.

To jest jej patent na nowoczesny teatr. Tworzy go konsekwentnie i inaczej niż większość dzisiejszych reżyserów. Co prawda jak oni też często bulwersuje publiczność. Dwa lata temu na przykład w londyńskiej Covent Garden romantyczną „Łucję z Lammermooru” zamieniła w krwawy, burzowy dramat, najbardziej oburzając sceną poronienia tytułowej bohaterki.

„Peleasem i Melizandą” Claude’a Debussy’ego, zrealizowanym przez Operę Narodową w koprodukcji z festiwalem d’Aix-en-Provence, Katie Mitchell zbulwersuje niejednego widza. Zwłaszcza tego, który oczekuje poetyckiej opowieści przepełnionej szumem drzew i morskich fal. Gałęzie – groźne i tajemnicze – wciskają się do sypialni bohaterki co prawda już w pierwszej scenie, ale wodę trzeba sobie wyobrazić. Czy

wlewa się do realistycznie odtworzonego pokoju, czy też czai się w mroku poza rozświetlonym wnętrzem?

Katie Mitchell uznała, że XIX-wieczny dramat Maeterlincka (wariacja mitu o Tristanie i Izoldzie), ozdobiony muzyką przez Debussy’ego, niewiele dziś mówi o człowieku. Niczym psychoanalityk starą opowieść pokazała więc w konwencji snu Melizandy.

Tak jak u Maeterlincka bohaterka trafia do królestwa mrocznego i ponurego, z którego chciałaby się wyrwać. Ale jest inaczej, bo zdarzeniami rządzi logika snu. Melizandy są zatem dwie – jedna ta prawdziwa i druga, jaką chce mieć przy sobie jej mąż Golaud. Dziecko też pojawia się wcześniej niż w dramacie, ale śmierć i narodziny są przecież w nim wszechobecne.

Historia wykreowana przez reżyserkę snuje się powoli niczym muzyka De-

 RZECZPOSPOLITA/

PISALIŚMY O TYM:

O „Erosie i Psyche” Ludomira Różyckiego w Operze Narodowej „Pięć epok w jednym filmie”

11 października 2017 r.

 archiwum.rp.pl

bussy’ego. Kto podda się klimatowi, tego ponury sen będzie wciągał coraz bardziej, kusząc, by dowiedzieć się, co kryje się za kolejnymi drzwiami i w duszach bohaterów.

Teatr i muzyka łączą się w nierozdzielalną całość. Komu zaś nie przypadną do gustu obrazy Katie Mitchell, może delectować się tym, jak gra orkiestra Opery Narodowej, a dyrygent Patrick Fournillier z partytury Debussy’ego wydobywa mrok i narastający dramat.

Dawno nie zdarzył się na tej scenie tak wyrównany zestaw wykonawców: obdarzony jasnym barytonem Bernard Richter jako Peleas, delikatna, liryczna Sophie Karthäuser jako Melizanda i dramatyczny bas-baryton Laurent Alvaro jako Golaud.

A na drugim planie jest bas Bertrand Duby oraz dwie młode Polki nieustępujące poziomem zagranicznym gościom, dobrze czującym tę specyficzną muzykę: Karolina Sikora (Geneviève) i Joanna Kędzior (Yniold). ©

—Jacek Marczyński



♦ Sophie Karthäuser (Melizanda) w Operze Narodowej